

SZLAFMYCA FIRMY

Jones

Napisał: Marek Słyk

Jakkolwiek tylko osobliwy zbieg kilku sprzyjających okoliczności sprawił, że ładna szlafmyca firmy Jones z dnia na dzień znalazła się w moim posiadaniu, to prawa wyjątkowości trudno mi nie przyznać samoistnie wyodrębniającej się spośród nich jednej. Choć właśnie inny postronny obserwator – gdyby taki się trafił – uznałby za decydujące, ja wiedziałem, że sztandarowa okoliczność, której zaistnienie w ogóle zwróciło moją uwagę na możliwość i potrzebę kupna, to nie była owa wielce umiarkowana cena tej nocnej czapeczki, ani jej – bezsprzeczna zresztą – uroda, ani nawet socjologiczny fakt, że przywdziewać do snu szlafmycę firmy Jones stało się ostatnio nader modne. Czym dla mnie od niepamiętnych czasów są sny, wiedziałem tylko ja. Zawsze podejrzewałem, że one są na niezwykłym, światowym wręcz poziomie. Miałem doskonały, wyposażony w materac z trawy morskiej, tapczan, kołdrę z naturalnego puchu; bawełnianą pościel zmieniałem codziennie. Dla utrzymania świetności moich snów doprawdy byłem skłonny do większych poświęceń niż zakup takiej szlafmycy.

Tak ustawiając się do moich życiowych problemów, robiłem może niezbyt mądrze. Sny przecież, choć także należy je zaliczać do ważnych składników życia, nie powinny być współmierne do jawy, wobec której – jak to wynika z doświadczeń i przemyśleń chociażby tylko moich – sen jest wtórny. Ale cóż? Różni ludzie różnorako ustawiają sobie treść, sens i cel własnych egzystencji. Nie wielu jest takich, którzy żyją w pełni. Cała olbrzymia reszta żyje albo po to, żeby jeść, albo po to, żeby płć, albo po to, żeby od czasu do czasu się zabawić. Ja samoograniczałem

Ilustrował: Julian Bohdanowicz

się nieco tylko inaczej: żyłem po to, by śnić. Zrozumiałe chyba, że w takim układzie jawie mojej wiele brakowało do świetności.

Dziewczyna, z którą byłem, nie raz i nie tysiąc razy usiłowała wyrwać mnie z mego, jak powiadała, autyzmu. Co rusz proponowała kino, teatr, koncert czy bytność w jakiejś galerii. Pomimo mojej wyraźnie powiedzianej niezgody, usiłowała wiele razy „wkręcić” mnie (i siebie) w jakiejś grupy towarzyskie, poznać z ludźmi – o „pięknie ukształtowanej” osobowości. Praktycznie wszystkie tego typu inicjacje odrzucałem, tłumacząc odmowę sakramentalnym: „nie widzę potrzeby”. Infobia, koniec końców, poprzestawała zwykle na takim swoim połowicznym sukcesie, że uzewnętrzniałem się przy niej, opowiadając me fantastyczne śnione fabuły; to, że nie umiała czy nie chciała nimi choć trochę się zachwycić, przynajmniej – złościło mnie. Wtedy konkludowała niezmiennie: „na samych snach nikt nigdy nie zbudował i nie zbuduje szczęścia, ani majątku”. Ta konkluzja złościła mnie jeszcze bardziej; intensywnie poszukiwałem drogi, pomysłu czy środka, by udowodnić, że tu właśnie moja Infobia się myli.

Szlafmyca służyła mi. To prawdopodobnie właśnie dzięki niej śnione projekcje – z bardzo ciekawych – stawały się jeszcze ciekawsze. Ich czarodziejskość, niesłychaną barwność, magiczny tryb toku pogłębił teraz czynnik w dawniejszych obrazach raczej nieobecny – wrażenie grozy. Dochodziło już do tego, że śniona straszliwość mnie, zlanego potem, wstrząsanego dreszczami, budziła w środku nocy, tak następnie drażąc moją świadomość, że trudno mi było znowu zasnąć. Podczas jednej z takich przygód, by



uspokoić rozdygotane nerwy, postanowiłem odbyć przechadzkę. Spokój śpiącego miasta, malowniczość omiotanych światłem latarni jego zakątków – z cichymi domami i milczącymi nieruchomymi samochodami – wkrótce przeniknął czy – lepiej będzie powiedzieć – wniknął we mnie. Uśmiechnąłem się i już myślałem wracać, gdy wtem uczułem tym boleśniejsze, że nieoczekiwane, uderzenie w głowę! Ten miękki przedmiot natychmiast zgarnąłem z oczu: był to damski (o ile się znam, taki używany raczej wyłącznie przez damy, nie przez wszystkie rodzaje kobiet) biustonosz! Odruchowo spojrzałem w górę. W jednym z okien wielopiętrowego gmachu, przy którym obecnie stałem, dała się widzieć naga (przynajmniej do pępka) dziewczyna o rozpuszczonych włosach i rozpustnie koły-

szącym się biuście. Ta zjawiskowa piękność stosownym gestem błagała mnie o milczenie. Gdy przestałem dziewczynie wymowny uspokajający gest ręką, wyszczała do mnie tak cicho, że ledwie dosłyszałem:

- Bądź tak łaskawy i odnieś mi to!
- Ależ pani – odszepnąłem ironicznie. – To chyba raczej ty zejdziesz tu po swoją własność?
- Widzisz przecież, że jestem rozebrana! – rozzłościło ją.
- A więc się ubierz!

Mimo sporej odległości, jak nas dzieliła, odniosłem wrażenie, że głęboko zajrzała mi teraz w oczy, jakby tam szukając wskazówki, co dalej robić. I zrobiła! Wycofawszy się w głąb pokoju, tak energicznie zatrzęsnęła okno, że w dookolnej – zdawało się: niewzru-

szonej – ciszy nocy zabrzmiało to jak wybuch bomby. W pierwszej chwili chciałem rzucić biustonoz i iść do siebie, ale coś mnie skusiło. Obliczyłem piętro, po czym wjechałem windą. Otworzyła mi, co ciekawe, już kompletnie ubrana. Wieczorowa, o połyskliwej czerni, suknia; stopy w doskonale zaprojektowanych i wykonanych czółenkach, nie za dużo i nie za mało wykrojony dekolt sukni; pośród obfitych raczej piersi – dyskretna kolia...

– Proszę, wejdz.

Wszedłem, z przyjemnością oglądając małeńki, ale z wyrafinowanym smakiem urządzone, przedpokoik, a następnie salonik, zdobny tym szczególnym rodzajem elegancji, na jaki stać tylko ludzi bogatych...

– Pewnie jesteś głodny, więc zaraz coś podam; tymczasem rozsiądź się i puść sobie jakiś video-film, tu masz videotekę.

– Mam nadzieję – powiedziałem śladając – że zabiłaś mnie tutaj nie po to, żeby mnie otruć.

– Poczekaj chwilę. Zaraz wszystko sobie wyjaśnimy.

Znikła, przechodząc do kuchni. Pociśniętem klawisz automatu video. Film wciągnął mnie od pierwszej chwili. Po trzech minutach zrozumiałem, że jest identyczny z jednym z moich niedawnych... snów!

– Słuchaj! Co tu jest grane?! – porwałem się na równe nogi. Wbiegłem do kuchenki, pochwyliłem moją gospodynię za łokieć. – Do licha! Co tu jest grane?! Odpowiadaj!!

Odpowiedziała uśmiechem osoby oczekującej właśnie na takie pytanie. Potrząsnąłem nią.

– Kim ty jesteś! Jak się nazywasz?!

– Wyłącz video, skoro cię denerwuje. Ja zaraz przyjdę z kanapkami.

Popatrzyłem, skrzywiłem się, by jednak po chwili postąpić według jej propozycji. Przyszła, postawiła dwie herbaty; pełny tuzin mikroskopijnych acz misternie ozdobionych (szynką, kawiozem, papryką) kanapeczek jednoznacznie wskazywał, że oprócz apetycznej materii jego autorka zna ponadto sprawy formy.

– Pytałeś, więc odpowiadam: moje nazwisko Alosemia Jones. Mam studia, ale jak dotąd nie byłam zmuszona pracować. Jedz.

Wziąłem kanapeczkę, nadgryzłem.

– To właśnie dzięki memu wspaniałemu ojcu od lat już mogę pozwolić sobie na więcej

niz tylu innych ludzi mojego pokolenia. Jedz, jedz! – podsunęła mi lekko talerzyk z jadłem.

– Myślisz, że twoja opowieść wyda mi się ciekawsza, gdy okraszę ją tym oto kolacyjnym rarytasem? – zażartowałem.

– Nie... Słuchaj dalej. Mój ojciec jest fizykiem, zdolnym fachowcem. Od lat czyni różne odkrycia, zresztą w dziedzinie modnej dziś jak żadna inna: w biocybernetyce. Lecz chociaż właściwie wszystkie jego prace przynosiły nam wiele pieniędzy, a także pewien rozgłos, to dopiero od chwili, gdy z badacza i konstruktora przedzierzgnął się w biznesmena, ja, mama i on posiadamy w zasadzie wszystko, co można dostać za pieniądze.

– Powiadają, że za pieniądze nie można dostać najważniejszego – wtrąciłem.

– Tak – skwitowała. – Ale słuchaj dalej. Mój ojciec założył i prowadził wielką wytwórnię filmów. Produkcję mamy olbrzymią, coraz większą. I co ciekawsze: dokumentnie wszystko sprzedaje się...

– Wyobrażam sobie – mruknąłem, gdyż coś już zaczynałem chwytać. No bo tak: z jednej strony szlafmyca firmy Jones, z drugiej – Alosemia Jones; to chyba nie mógł być przypadkowy traf. Już choćby z tej racji, że Alosemia nasze spotkanie z całą pewnością zaaranżowała. Przelatnąłem pierwszy łyk aromatyzowanej jakimś sokiem herbaty.

– Przygodę z filmem rozpoczął sukces, którego ojcu pewnie by zazdrośczone, gdyby się ujawnił: zbudował aparat do przechwytywania śnionych przez człowieka obrazów. Tym sposobem mógł robić i wyświetlać na ekranie zwykłego telewizora transmisje ze snów każdej, dowolnie wybranej, śniącej osoby. I rejestrować – na zwykłej kasecie video.

– Ach tak?! – zareagowałem, bo zrozumiałem już coraz więcej. Alosemia ciągnęła:

– W wyniku przeprowadzonych prób upewniliśmy się, że sen snowi nie jest równy, a konkretnie, że istnieją ludzie śniący szczególnie pięknie, obok innych, mających sny, jak najgorsze kinowe kicz. Ojciec rozumował, że gdzieś w świecie jest człowiek, którego sny są interesujące rekordowo...

Alosemia jednym łykiem opróżniła pół szklanki.

– Pozostało teraz dotrzeć do takiego rekordzisty, a przedtem go odszukać. Jak myślisz, pomogło nam w tym urządzenie

jakiegoś monstrualnego plebiscytu? Konkursu? No?

– Skąd mogę wiedzieć – wzruszyłem ramionami ze zniecierpliwieniem.

– Było tak – moja rozmówczyni wygasiała uśmiech. – Ojciec, mając już rewelacyjny aparat, zminiaturował go do rozmiarów małego guzika, a następnie wykupił i nazwał własnym imieniem wielką wytwórnię szlafmymc. Później założył warsztat, gdzie w ciągu roku wyprodukowano 700 milionów zminiaturyzowanego przekaźnika snów. Każdy taki guziczek w wytwórni szlafmymc przyszywano jako ozdobę do każdej czapki. Produkcję zaopatrzonej w przekaźnik szlafmymcy sprzedaliśmy w całości w ciągu pięciu lat. Firma Jones stała się znana, a nawet sławna, wszędzie: tak na lądzie stałym, jak wśród marynarzy i rybaków. A my, w tym momencie, byliśmy na krawędzi bankructwa.

Patrzyłem na Alosemię z coraz większym zdumieniem.

– Ojciec wiedział, że jeśli teraz dopuścił do krachu, to prawdopodobnie do późnej starości tkwiłby w największej nędzy, a jeszcze i ja, po jego śmierci, musiałabym tyrać, żeby spłacić długi. Pracował więc jak w transie. Automatyczną centralę i selekcyjnernię snów udało mu się uruchomić w ostatniej chwili. Pierwszy twój sen, jako nasz film, sprzedaliśmy dla nielegalnego kina, gdzie nie pytano, cośmy za jedni...

– Mój sen jako wasz film! – zdobyłem się na wykrzyknik i powstałem. – To chyba należą mi się jakieś tantiemy?!

– Siadaj, to jeszcze nie koniec! – panna Jones pociągnęła mnie za krawat, ale wyrwałem się. – Siadaj, proszę!

– No, chyba że prosisz – mruknąłem i usiadłem.

– Kontynuuję. Otóż powodzenie twojego snu w owym kinie było szalone. W sporej sali przez 24 godziny na dobę, dzień w dzień, wyświetlano go od stycznia do września. W tej sytuacji mały procent zysków z projekcji, jaki mieliśmy umówiony z właścicielem nielegalnego kina, dał nam w sumie tyle pieniędzy, że zdołaliśmy spłacić z tego wszystkie nasze dotychczasowe inwestycje. Ale musieliśmy dalej inwestować. Oczywiście rozumiesz, że ogromny sukces twego snu w kinie „Konspirator” musiał, zgoła poważnie, zaniepokoić konkurencję. Gdyby nie

pewne kroki, które teraz poczynił ojciec, napuściliby na nas całe sfory detektywów – wcześniej czy później – tajemnica przechwytywacza snów pękłaby, co z kolei nam: mnie i ojcu, stworzyłoby konkurencję nie do przewyciężenia. Jak myślisz, co zrobił mój ojciec? – Alosemia uśmiechnęła się do mnie w ten sposób, jakby z góry przewidywała, że nie zgadnę.

– Musiał przekupić kilku znanych filmowców, by zgodzili się firmować „wasze” – skrzywiłem się – filmy.

– Nie – Jonesówna przecząco pokręciła głową. – To byłoby dobre na krótką metę. Mój ojciec zrobił inaczej: zbudował wielką prawdziwą wytwórnię filmów, gdzie wkrótce znalazło zatrudnienie ponad tysiąc ludzi: najrozmaitszej klasy i prowiniencji aktorów, reżyserów, kamerzystów, scenografów, charakteryzatorów, montażystów. W takiej masie ludzi z łatwością mógł wsiąknąć, skryć się, niejeden samodzielny zespół filmowy, ale i tak samo łatwo było tu ukryć faktyczną fikcyjność „zespołu”, w którym oficjalnie powstawały twoje sny. Wielki kamuflaż, jakim dla wykorzystania przez nas twoich sennych widzeń była i jest wytwórnia, stał się tym bardziej skuteczny, że co jakiś czas puszczamy na rynek obrazy rzeczywiście zrobione przez naszych artystów; w ten sposób i nam nie są obce finansowe fiaska, co zresztą doskonale uwiarygodnia naszą działalność...

Alosemia urwała; wykorzystałem ten moment:

– Skoro wszystko tak pięknie wam szło, to po co teraz wtajemniczyłaś w to mnie?

– Gdyż była to jedyna tajemnica, jaką miałam i jaką mogłam cię zainteresować. Inaczej nie mógłbyś mnie słuchać dłużej niż przez pięć minut. Tak, kochany! – uśmiechnęła się do mnie oczami. – Ja i mój ojciec wiele już wlemy o tobie!

– A po co miałbym cię słuchać dłużej niż przez pięć minut? – nie ustępowałem.

– Jest teraz moda na filmy dla dzieci, a moda to okazja. Czegoś takiego człowiek interesu nie lekceważy. Myślę, że nasze dziecko dałoby firmie...

Wstałem, zasalutowałem, wyszedłem. Myśl, że opowiem Infobii, co za przygodę przyniosła mi dzisiejsza noc, ta myśl grzała mi serce i głowę niby dobrze skonstruowany piecyk...